№ 49.

Warszawa

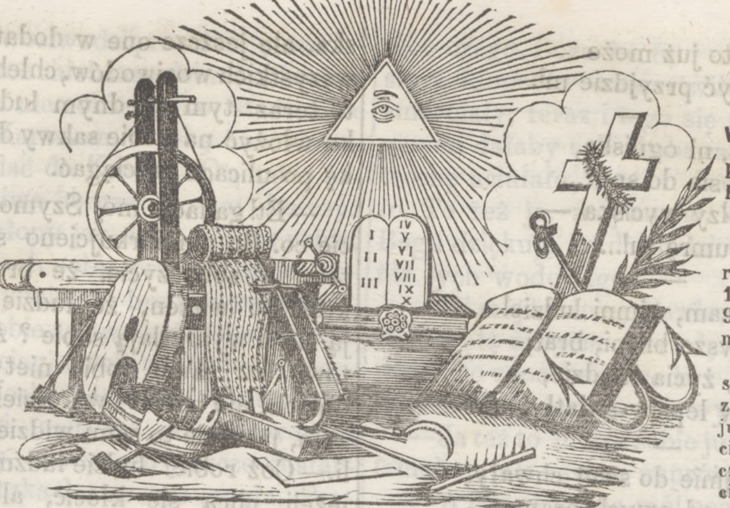
Dnia 25 Listopada

(7 Grudnia)

1856.

Niedziela

2ga ADWENTU.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Przygotuj, Panie! serca na przyjście jednorodzonego Syna Twego, ażebyśmy przez przyjście Jego, w czystem sercu Tobie służyli. (Modlitwa kościelna na niedzielę 2gą Adwentu).

Uroczystość Niepokalanego poczęcia N. M. P.

—

Dnia 8 Grudnia przypada uroczystość Niepokalanego poczęcia N. M. P.— Obchodzi ją kościół św. na podziękowanie Bogu, że przeznaczając od wieków Maryą za matkę synowi Swemu, uczynił Ją wolną od grzechu pierworodnego, niepokalanie poczętą, matką-dziewicą!

W dniu tym chrześcianin powinien prosić Boga, aby dawszy mu sposób zgładzenia grzechu pierworodnego przez chrzest Ś., udzielił mu zarazem i łaski, iżby na wzór Maryi po chrzcie już otrzymanym, niewinne i nieskalane życie prowadził.

We czwartek zeszły przypadał dzień św. Barbary. W kościele P. Maryi w Warszawie odbywało się dawniéj dnia tego nabożeństwo rybaków.

Za czasów panowania króla Augusta 2go, rybacy na św. Barbarę w kościele rzeczonym z całemi rodzinami i czeladzią znajdowali się na rannem i wieczornem nabożeństwie — po skończeniu którego rozdawali ubogim ryby jako jałmużnę.— Zwyczaj ten ustał niewiadomo kiedy.

Smierć nędzarza.

—

Na cmentarzu przed kościołem,
Biedny jakiś starzec stał;
Z białym włosem, łysém czołem,
Nędzną świtę tylko miał.

—

Stojąc w kącie, drżał od chłodu,
Bo trzaskący mróz to był;
Od srogiego zbladły głodu,
Stary żebrak ledwo żył.

—

Próżno prosi o grosz jaki,
Tylko słyszy jeszcze głos:
„Znamy was, o wy! próżniaki!
Godny siebie macie los.“—

—

Westchnął biedny: „o mój Boże!
I łza w oku jego tkwi;

O! mój Boże, to już może
Marnie skończyć przyjdzie mi.

—

Ni schronienia, ni ogniska,
Gdzież położę się do snu?...
Srogie zimno łzy wyciska —
Na cmentarzu umrę tu!...

—

Wam przebaczam, zimni ludzie!
Bom wasz zawsze bliźni, brat;
Po goryczach, życia trudzie,
Idę spocząć w lepszy świat!

—

Bóg mię przyjmie do swéj chwały,
Nie odepchnie od swych bram;
Jemum służył wiek mój cały,
Da mi wieczne szczęście— tam!"...

—

Uciął mowę, schylił głowę,
Ostatnie to słowa rzekł;
Na mogile, w krótką chwilę,
Biedny żebrak martwy legł.—

* * *

Gdy nazajutrz w białe rano
Spostrzeżono jego trup;
Dół głęboki wykopano,
I złożono zwłoki w grób.—

—

Pan Bóg starca wziął do siebie,
Litościwszy od nas On.
Za swą nędzę starzec w Niebie,
Już wybranych zasiadł tron.—

Rozmowa o wodociągach.

—

—Patrzcieno Szymonie! co to za kłótnie i bijatyki przy téj studni od wodociągu. Że też to ci ludzie nigdy porządku nauczyć się nie mogą. Bo czyby to nie lepiéj dla nich było, brać sobie wodę wolno, z kolei, a niekoniecznie razem, jedno przez drugie pchać się, kłócić i bić, jakby jakie, Boże odpuść, bydlęta.— Tak mówił Paweł, były woziwoda, do kuma swojego, Szymona, trudniącego się ciesiołką.

—Ha! to widzicie, mój Pawle, co to narobiły owe wodociągi. Już ja nieraz sobie miarkowałem, że źle sobie poradzono, robiąc te wodociągi, bo to z nich nietylko powstają kłótnie, zabijatyki i wymysły, a ztąd i obraza Boska, ale jeszcze one w dodatku tylu ludzi, boć wszystkich woziwodów, chleba pozbawiły—a toć to teraz tym biednym ludziom pozostało tylko włożyć na siebie sakwy dziadowskie, i iść rękę po ulicach wyciągać.

—Et! gadacie mój Szymonie, a sami nie wiecie co. Bo pomiarkujcieno sobie ino lepiéj nad tem, a zobaczycie, że brednie pleciecie. Bo któż to winien, że ludzie przy studniach biją się i wymyślają sobie ? A wszakże to oni gotowi toż samo robić nietylko przy tych studniach, ale nawet i w kościele, w tym domu Bożym, jakeście to sami widzieli przeszłéj niedzieli.—Cóż robić? ludzie ludźmi zawsze zostaną—jeżeli chcą się kłócić, albo bić, to nikt temu nie zaradzi.— A że Skarb tego nie chce, to przecie możecie i z tego pomiarkować, że on trzyma tylu dozorców i budników na to tylko, żeby oni wszędzie chodzili, i koło tych studni, ludzi prosili i przestrzegali, żeby się nie kłócili, nie bili, wodę sobie wolno z porządkiem brali; a tych, co gwałtem chcą się kłócić, albo bić, żeby do ratusza zabierali.—Cóż, czy to nie prawda, Szymonie?

—No, już co do tych zabijatyk, to chyba macie racyą, to już sami sobie ludzie winni; ale już mnie nigdy nie przekonacie, żeby wodociągi nie odebrały woziwodom ich kawałka chleba.

—Oj, co nie odebrały, to nie odebrały, ale im go tylko przemieniły, i to na lepszy, a nawet i większy.

Boć przecie wiecie o tem mój kumie, że i ja byłem woziwodą, przez wodociągi nim nie jestem, a czy widzieliście mnie, albo moję żonę, albo które z dzieci, w kruchcie kościelnéj, z wyciągniętą do ludzi ręką?

—O! bo wy, kumie, umieliście sobie poradzić; wyście zaraz się wzięli do wyrobku, to do mularki, to do ciesiołki, to do układania szycht nad Wisłą, to wam jakoś idzie.

—A czy to kto broni i innym tak sobie poradzić? Czy to wy raz słyszeliście, jak to panowie skarżą się, że dostać nie mogą robotników, i sprowadzać ich sobie muszą aż zkądsiś z zagranicy. A czy to nie powinno nas wstydzić, a czy to u nas ludzie się nie rodzą? Oj nie! mój Szymonie, u nas nie na brak roboty, ale chyba na brak robotników skarżyć się potrzeba; bo pewno nietylko wszyscy woziwodzi, ale i wszystkie dziady, żeby tylko chcieli, to mogliby sobie uczciwie na kawałek chleba zarobić. Nie dzi-

wię się ja wcale, że woziwodzi przeklinają wodociągi, i mówią, że one chleb im odebrały, bo jużcić oni woleliby nic nie robić, tylko stać sobie przy wozach pod Karasiem, i zęby na słońcu suszyć, albo zaglądać do Karasia. Ot, takie lenistwo, to prawdziwa obraza Boska; bo czyż to nie grzech, że chłopy jak dęby, nic nie robią, tylko po całych dniach sobie przy wozach baraszkują, najbezwstydniejsze brednie wygadują, albo wódką rozum sobie zalewają. Oj! nie mówcie Szymonie! że wodociągi chleb woziwodom odebrały, lub obrazę Boską pomnożyły, bo to nieprawda. Wodociągi nietylko że woziwodom chleba nie odebrały, ale im go jeszcze dostarczyły więcéj, niż beczka dostarczyć mogła. Prawda, że potrzeba cięźéj na niego pracować, ależ praca— to chwała Boża, a zresztą po pracy toć i miléj zjeść kawałek chleba.

—Może wy Pawle i prawdę mówicie, ale zdaje mi się, że ogniście przesadzacie; boć przecie jakeście byli woziwodą, to jakeście przedali ze dwie beczki wody na dzień, toście już mieli z talarka, a często gęsto jeszcze was najmowali do przewożenia rzeczy, to i ztąd kapnął wam jaki grosik.

—To prawda, mój kumie! ale pomiarkujcie no sobie, że człek nieraz cały dzień stał i czekał, a i pies go o nic nie zapytał.

Przyszedł wieczór, trzeba było wodę z beczki wylać, i z gołemi rękami do domu powracać, a tam żona i dzieciska nie pytały zkąd wziąć, ino wołały: daj, bo im się jeść chciało. A i szkapsko wiatrem żyć nie mogło, i jemu trzeba było kupić óbroku i siana. To człek wtenczas mało się nie zamartwił-- i musiał u żyda się zastawiać, a jak późniéj się kiedy poszykowało i grosz jaki kapnął, to trzeba było żydowi oddawać, bo wołał, i znowuż człek został bez grosza. Więc widzicie, mój kumie, że zarobek z beczki i wozu mały jest i niepewny.— A teraz to człek na pewniaka, co dzień kilka sobie złotych zarobi, a prócz tego i moja kobieta, nie ciężko pracując, jaki taki grosz zapracuje. Bo jakem sprzedał wóz i konia, takem zaraz kupił stragan, i żonę w nim obsadził. Więc co dawniéj człek nie miał nieraz i chleba kawałka za co do gęby włożyć, a mięsa i ze smaku nie znał, to teraz choć i czasy ciężkie, chleba nigdy mi nie braknie, mięso jem dwa razy na tydzień, a jeszcze co dzień i na szklankę piwa mi wystarczy. Dawniéj, żeby człek obłożnie zachorował, albo czego Boże broń, i umarł, toby żonisko się z kłopotów zamartwiło, a dzieciska toby zmarniały; teraz i tego się nie boję, bo ze straganem dałaby sobie baba radę, a i grosza się już trochę uciułało, o czém dawniéj ani myśleć było. To też ja, mój kumie, co dzień serdecznie Bogu dziękuję, że dał ludziom rozum do zrobienia tych wodociągów.

—O! mój kochany Pawle, widzę teraz jasno, że wy świętą mówicie prawdę. Ale powiedzcie mi, jakim to sposobem woda z Wisły, aż tu sama przychodzi, i jeszcze tak wysoko bije?

—Ja też to nieraz sobie już głowy nad tem nałamałem, ale zawsze napróżno, bo to widzicie...

—A jak się macie, mój poczciwy Pawle, cóżeście się tak zagadali? zapytał w téj chwili jakiś niemłody już, ale z uczciwą miną przechodzień, u którego Paweł od kilku już tygodni ciągle pracował.

—A to proszę łaski pana, my tu sobie z kumem medytujemy, jakim to sposobem woda z Wisły może się sama tak wysoko podnosić, ale nic nie możemy wymedytować.

—No to chodźcie ze mną, a ja wam to wytłumaczę; ale że na ulicy źleby jakoś było o tém mówić, więc wstąpmy do tego ogródka, to w nim spokojnie sobie o tém pogadamy.

Pewno widzieliście te nowe zabudowania, stojące nad Wisłą, w nich to właśnie mieści się cała wasza zagadka. W nich bowiem są umieszczone dwie machiny parowe, każda o sile kilkunastu koni, i te to machiny właśnie dźwigają do góry wodę.

—A co to proszę pana, znaczy machina o sile kilkunastu koni? zapytał Paweł.

—To znaczy, że machina taka siłą swoją tyle robi, coby zrobić mogło kilkanaście koni, gdyby te bez odpoczynku pracować mogły.—Wiecie już, że za pomocą machin parowych możemy mleć, prząść, olej wygniatać, jeździć, pływać i t. d., więc się nie zdziwicie, gdy wam powiem, że za pomocą nich możemy także pompować.

W tych tedy zabudowaniach są przyrządy, któremi przy pomocy machin, wodę przeprowadzamy z Wisły do Warszawy.

Przyrządy te są następne:

Najprzód zrobiona jest wielka pompa, poruszana machiną parową, za pomocą której woda z Wisły przeprowadzana jest do zbiorników, czyli do wielkich sadzawek, których jest dwie. Ze zbiorników przechodzi woda do innéj sadza-

wki, któréj dno stanowią filtry, służące do oczyszczania wiślanéj wody. Urządzenie tych filtrów jest następne: sam spód głęboko wykopanéj sadzawki, wyłożony jest mocno ubitą gliną, która nie pozwala przeciekać głęboko w ziemię, oczyszczonéj już wodzie. Na tém dnie układają się na kant w pewnych od siebie odstępach, dobrze wypalone cegiełki; na nich położona jest warstwa pewnego rodzaju płaskich dachówek tak wypalonych, że przez nie, jak przez sito woda przesiąkać może. Na tych dachówkach wreszcie jest położonych kilka pokładów różnego gatunku piasku; pokłady tak są ułożone, że na samych dachówkach leży piasek najgrubszy, najziarnistszy, a daléj ku górze, idzie piasek coraz miałszy, tak, że na wierzchu dna sadzawki leży piasek bardzo drobniutki, a nawet podobno miałko potłuczone węgle. Otóż kiedy woda ze zbiorników przejdzie do filtrowéj sadzawki, to nim dojdzie do jéj właściwego gliną wyłożonego dna, musi poprzednio przejść przez wszystkie gatunki piasku, następnie przez owe dziurkowate dachówki, przez co najzupełniéj oczyści się ze wszystkiego, czem w Wiśle zanieczyszczoną była. Tak oczyszczona woda kanałami przechodzi do innych pomp, także machiną poruszanych, a urządzonych podobnie jak sikawki straży ogniowéj. Wystawcie sobie wielką taką sikawkę, do któréj w miejsce pompujących ludzi, trzeba zaprządz kilkadziesiąt koni, czyli machinę parową, w któréj w miejsce owéj skórzanéj kiszki, są urządzone żelazne rury; w końcu, w miejsce palącego się domu, na który lać trzeba, wystawcie sobie stojącą na górze Warszawę, a będziecie mieli obraz machiny parowéj, wpychającéj wodę do Warszawy. Za pomocą tedy tak urządzonych pomp, woda z ogromną siłą wpychaną jest w owe, przed kilku laty w ziemię włożone, rury żelazne. Ponieważ widzieliście, jak te rury układano, wiecie więc, że one idą dwoma rzędami od machin, aż do fontanny w Saskim ogrodzie. Tu rury te rozdzielają się na dwie odnogi pojedyncze, jedna z nich przechodząc pod Brühlowskim pałacem, idzie do zdrojów, czyli pomp, urządzonych przed Ratuszem, przed Zamkiem i na Starem Mieście, i ciągle dostarcza im wody wprost z pompy nad Wisłą będącéj; druga zaś odnoga rur idzie do owego pięknego w ogrodzie Saskim na górze stojącego wodnego domku, i jemu także ciągle wody dostarcza. Domek wodny rozdzielony jest na dwie części. Podłoga pierwszéj t. j. górnéj części położona jest na równi z usypaną górą; wierzch zaś jéj dochodzi do saméj prawie kopuły; drugiéj zaś części spód jest na równi z powierzchnią ogrodu, a wierzch stanowi spód podłogi pierwszéj części domku. Obiedwie te części ciągle napełnione są wodą, przychodzącą ową drugą odnogą rur. Od drugiéj, t. j. od dolnéj części domku wodnego rurami pojedyńczo leżącemi, idzie woda do zdrojów przed Bankiem, Komisyą Spraw Wewnętrznych, przed ogrodem Krasińskich urządzonych, i ciągle dostarcza im wody. Z pierwszéj zaś t. j. z górnéj części domku, idzie woda do fontanny w Saskim ogrodzie urządzonéj, i z niéj do góry wytryska.

—A dlaczego to, proszę łaski pana, tak wysoko tam woda wytryska? zapytał Szymon.

—Zaraz wam i to powiem. Trzeba wam wiedzieć, że woda, a w ogóle i wszystkie ciecze, mają tę własność, że z jakiéj wysokości spadają, do takiéj saméj wznieść się napowrót mogą. To znaczy, że gdybyście na tem tu np. drzewie umieścili szafliczek z dziurą w dnie, do téj dziury żebyście przymocowali rurkę tak długą, żeby drugi jéj koniec, cokolwiek do góry podniesiony, dochodził aż do ziemi, następnie żebyście szafliczek napełnili wodą, i dopiero ową dziurkę odetkali, to woda rurką spadłaby na sam dół, następnie zakrzywionym końcemby wytryskała aż do wysokości takiéj, na jakiéj umieszczony jest szafliczek. Toż samo zupełnie dzieje się i z fontanną w ogrodzie, tylko, że w niéj zamiast szafliczka, jest pierwsza t. j. górna część domku wodnego; zamiast rurki, są rury żelazne idące od téjże części, aż do talerza fontanny; wreszcie zamiast zakrzywionego końca rurki, jest otwór fontanny, na środku talerza umieszczony. Jak z zakrzywionego końca rurki wytryskała w górę woda, tak też i z otworu fontanny wytryskać ona musi, skoro otwór ten otworzymy; ale że górna część domku bez porównania wyżéj jest umieszczona, niż nasz szafliczek, więc nic dziwnego, że i z fontanny daleko wyżéj bije woda, niż biła z zakrzywionego końca rurki.

Z talerza fontanny w Saskim ogrodzie idzie woda rurami, do talerza fontanny przed Ratuszowéj; ztąd zaś idzie do fontanny pod królem Zygmuntem; nic więc dziwnego, że fontanna Ratuszowa bije tylko tak wysoko, jak jest talerz w ogrodzie, a fontanny pod Zygmuntem bić mo-

gą tylko do wysokości talerza, przed Ratuszem umieszczonego.

Zprzed króla Zygmunta idzie woda do fontanny na Starem-Mieście, i dlatego też ta tak nisko bije.

—A proszę pana, jakże tam fontanna bić może, kiedy przed Zygmuntem woda wprost na ziemię spada? zapytał Paweł.

—Trzeba wam, mój Pawle! wiedzieć, że przed królem Zygmuntem grunt daleko więcéj jest wzniesiony, niż na Starem-Mieście, więc woda zprzed Zygmunta idąca na Stare-Miasto, spada z miejsca wyższego na niższe, nic zatem dziwnego, że napowrót wznosić się może do pewnéj, choć niewielkiéj wysokości.

Otóż i macie moi przyjaciele, całe urządzenie wodociągów. — Spodziewam się, żeście mnie zrozumieli.

—O zrozumieliśmy, proszę pana, niech panu i Bóg zapłaci za to wytłumaczenie, i za to, że pan taki bogaty nie wstydził się z nami biednymi i prostymi ludźmi w ogrodzie publicznym siedzieć i rozmawiać.

—Moi przyjaciele! nie wstydzę ja się ludzi uczciwych, choć siermięgami odzianych, i ochotnie rękę im podam—jak przeciwnie uciekam przed takimi, co to chodzą w najmodniejszych sukniach, ze złotemi zegarkami w kieszeni, a którzy na sumieniu swojem krzywdę noszą ludzką. No, bądźcie zdrowi, bo trzeba mi iść za interesami.

Małgosia Wilczkówna.

—

Były to ZieloneŚwiątki —święto radości, święto uroczyste na cały świat chrześciański.—Chałupy wsi Przyłęka przystroiły się kwiatami, pozatykanemi w ściany, wewnątrz zielony tatarak zasłał podłogi, przed chałupami powtykane we dwa rzędy, duże z zielonym liściem gałęzie brzeziny, stanowiły śliczne aleje, wieś cała przybrała się w szaty świąteczne, i zielonością swoją zachwycała oko patrzącego.— Od samego świtu rozmaite fury chłopskie, powozy, bryczki, i karety przeciągały drogą, wiodącą do Wielkiéj Woli;po obu stronach drogi szły tłumy ludu pieszego świątecznie przybrane, chłopki w białe wełniane sukmany, pięknie wyszywane czerwoną włóczką na wszystkich szwach i kołnierzu stojącym, klapy wywijane czerwone lub niebieskie, pasy kowane w rozmaite wzory,lub tkane z wełny w różne kolory, kapelusze wysokie spiczaste, lud hoży i dorodny, dzielny i do tańca i do różańca.—Kobiety w różnokolorowych spodnicach, błękitnych, albo różowych gorsetach, w haftowanych na przodzie koszulach włóczką, w krasnych chustkach na głowie, zpod których wymykały się długie warkocze,ozdobione rozmaitemi wstążkami, za chustką pozatykane kwiaty, piwonje, astry, róże: w ręku trzewiki sukienne z dużemi fontaziami, przez plecy mały tobołek, z serem, chlebem i świeżem masłem. Wszystek ten lud dążył na odpust do cudownego Pana Jezusa Wielkowolskiego. Bryki z tassami, kramarze z obrazami, pierścionkami, paciorkami i tysiącem innych ślicznych rzeczy jeszcze wczoraj poprzyjeżdżały, piernikarze, faryniarze, także ściągnęli nie jedną już furą.— O! będzie tam co widzieć, bo po nabożeństwie cygany nawet będą pokazywać sztuki rozmaite. A i nabożeństwo jakie będzie śliczne, ile to będzie księży, kościół jak będzie ładnie przybrany! Któżby w takim dniu został w domu, któżby nie dążył na odpust?

—Wielka-Wola jestto mieścina mała, albo raczéj porządna wieś, rzucona pośród żółtych piasków, naokoło się rozciągających, otoczonych naokoło żyznemi gruntami, jakby wyspa otoczona wodą. Wpośród nich stoi w kwadrat trzy rzędy domów niskich, lecz schludnych, biało pomalowanych, zamieszkałych po większéj części przez rzemieślników, z ogromną austeryą w jednym kącie kwadratu, w któréj w téj chwili rozlega się szumna muzyka dwojga skrzypców, basetli, i tamburyny cygańskiéj, z któremi miesza się wrzawa tysiąca głosów.— Czwarty bok tego kwadratu, zajmuje przepyszny klasztor OO. Bernardynów, z pięknym ogrodem.—Dwie wysokie wysmukłe wieże, wysoko wyleciały pod obłoki, jak serca tych, którzy położyli pierwszą jego cegiełkę; w środku obszerny i majestatyczny kościół z pięknemi organami które kosztują do 40,000 złotych, czyli rs.6,000 a na które ukwestował brat Marcin, jeżdżąc po całym kraju. W wielkim ołtarzu jest cudowny Pan Jezus w ogrójcu z koroną cierniową na skroni, a malowidło takie piękne, tak do serca przemawiające, że kiedy przy biciu w kotły odsuną firanki, zakrywające obraz, i kiedy człowiek spojrzy na te lica blade, lecz szlachetne, i wielkie ze swego cierpienia, kiedy zobaczy tę łzę, co się zatrzymała na twarzy; to już głęboko musi być zakamieniały, jeżeli

serce mu się nie ściśnie, jeżeli nie poczuje w sobie duszy, i łzy nie uroni. Sławny też to jest obraz niejednym cudem. Na ścianie klasztoru na prawéj stronie wisi piękny obraz olejny, przedstawiający rycerza w zbroi, to jest w żelazném ubraniu, z familii Skórkowskich, założycieli klasztoru, i posiadaczy obecnie jeszcze Wielkiéj Woli, na kulach, sparaliżowanego, który za łaską Jezusa do zdrowia powrócił. Dużo, dużobym jeszcze mógł powiedzieć o tem, ale to na kiedyindziéj odłożę, teraz zaś wrócę się do mojéj powieści.

W kościele ludu pełno, że mógłbyś jabłko potoczyć po głowach; cały cmentarz przy kościele roi się ludem, a naokoło zasiedli żebracy, śpiewając pieśni nabożne na rozmaite głosy. Na rynku ludu jak nasiał, porozstawiane kramy, a na nich porozkładane paciorki rozmaitego gatunku i koloru, szkaplerze, kolczyki, i szpilki, fujarki do grania, obrazy świętych porozwieszane w rozmaitym porządku. Tu kram z piernikami i ciastami, tu kukiałki, faryna, piwo, wódka i miód; tu żydy zajęły miejsce, i porozwieszały przepyszne chustki, perkaliki i płócienka — na końcu placu cygan oprowadza niedźwiedzia, co nad podziw pokazuje sztuki, i ktoby tam już wszystko zliczył? trzeba tam być, żeby to zobaczyć; dziwy! jednem słowem dziwy!

Ze sześć młodych dziewuch, postrojonych, w krasnych manszestrowych obszywanych szychem gorsetach, z kwiatami za chustką na głowie, ze wstążkami w kosach, wśród śmiechów i wesołych rozmów, zdążały chyżym krokiem przez las, oddzielający Przyłęk od Wielkiéj Woli; wszystkie prawie jednakowo ubrane, wszystkie dorodne, ale jedna z nich najpiękniejsza, miała gorset gdzie niegdzie już poprzecierany, chustka na głowie także nie była nowa, w ręku trzewiki skórzane bez fontazi; we włosach jedna tylko wstążka; ale za to za chustką jéj jakież były piękne kwiaty, żadna z towarzyszek takich nie miała. A były to róże, duże jakby pięście, że daleko zapach się od nich rozchodził; dziewczyny nieraz z zazdrością na nie spojrzały, czemuż i one sobie ich nie wyhodowały jak Małgosia? a przecież Małgosia była tylko córką wdowy po Janie Wilczku, co na jednéj mordze siedziała, a te wszystkie *Ojcowistki*, a niektóre nawet i bogate, jak Baśka Młynarczanka, albo Zośka Kubowa.

— O! spieszmy się, mówiła Jadwiga Królikówna, bo słońce już wysoko, nie zdążymy na nabożeństwo.

— O! spieszmy się, powtórzyły chórem inne i przyspieszywszy kroku, zdążały do Wielkiej Woli.

Ja muszę sobie kupić chustkę do okrycia, kraciastą, i ze cztery rzędy korali, mówiła Baśka Młynarczanka.

— O! Zośka to nie będzie nic kupować — mówiła mała Jadwiga, ma swego, to jéj kupi.

— O juścić kupi, bylem ja tylko wzięła, odrzekła Zośka.

— Głupiabyś była, żebyś nie brała.

— Jabym wzięła.

— I Ja.

— I Ja.

— Powinien nam wszystkim kupić piwa twój Stach, bo to majster przecie.

— Ja sobie kupię paciorki.

— Ja szkaplerze i wstążki.

— Ja na gorset.

— Ja na spódnicę.

Jedna Małgosia nic nie mówiła, ona biedaczka nie miała za co kupować, cały dzień wczorajszy była u roboty na zarobku, żeby mieć parę groszy na odpust dla siebie i dla matki; nie myśleć jéj tam o żadnych sprawunkach.

Dziewuchy z dumą spojrzały po sobie, a Kachna sąsiadka rzekła:

— Ja ci kupię Małgosiu! pierścionek.

— Bóg ci zapłać, moja droga, ale co mnie po pierścionku?

— Jak to, ty nie lubisz się ubierać?

— Lubiłabym, żebym sama zapracowała, ale tak, to nie lubię.

— Wszystko jedno, czy ztąd, czy ztąd.

— O nie wszystko!

— Toś ty nie ciekawa widzieć tych śliczności co tam będą?

— O! gdziem tam nie ciekawa, jabym dwa tygodnie pracowała o suchym kawałku chleba, żeby to widzieć, ale cóż mi z tego, mówiła, smutnie zwieszając głowę.

Kiedy tak rozmawiają, weszły właśnie na górę w lesie, z któréj już obiedwie wieże widać klasztoru, wspaniale wznoszące się nad okolicą. Przeżegnały się, i ruszyły daléj, gdy wtem na boku usłyszały jęczenie w dali, zatrzymały się, ale raptem jakby jedną myślą strachu owiane, zaczęły uciekać, lecz podskoczywszy kilkanaście kroków przystanęły, a Małgosia rzekła:

Czegóż my uciekamy jak owce? lepiéj pójdź-

my zobaczyć co tam takiego, może kto z naszych zachorował.

Na te słowa dziewuchy szybko wróciły się, i skierowały do miejsca, zkąd głos pochodził.

O kilkanaście kroków na ubocznéj drożynie, zobaczyły naprzód wóz jednokonny przewrócony, koń stał zaplątany, a przybliżywszy się dostrzegły, że wóz był naładowany solą, i przewróciwszy się, przytłukł żyda, który nim jechał. Ten wił się pod ciężarem, nie mogąc ani powstać, ani zrzucić z siebie wozu.

Dziewczyny stanęły chwilę, ale Małgosia pierwsza rzuciła się do wozu, i zaczęła dźwigać, a widząc, że jéj żadna nie pomaga, obróciła się, i zawołała:

—Ady bójta się Boga, ratujcie tego człowieka.

—To żyd, powiedziała Baśka.

—Niech leży, mówiła Zośka, jak będzie jechał drugi, to go wyratuje,

—A mata wy Boga w sercu? wołała Małgosia, to człowiek, nasz bliźni, ratujcie go.

Pierwsza Kachna dała dobry przykład, i śmiało się uchwyciwszy wozu, wspólnemi siłami postawiła go z Małgosią; ściągnęły bałwan soli, co przyciskał nogę żydowi, pokładły sól na furę.

Żyd leżał blady, skrwawiony, bezprzytomny; krew obficie mu się toczyła z czoła.

—No pójdźwa teraz, wołała Zośka, bo będzie późno na nabożeństwo.

—Pójdźmy, pójdźmy, powtórzyły inne.

—Jakże możemy odejść umierającego człowieka bez pomocy? mówiła Małgosia.

—To sobie zostań z nim, kiedyś taka litościwa, my zaś czekać nie będziemy.

—To zostanę, powiedziała Małgosia, ale pomóżcie mi go włożyć na furę, żeby go dowieść gdzie do wsi.

Dziewuchy trochę się powzdragały, ale nareszcie wspólnemi siłami podjęły starca, i włożyły na furę a same poszły.

Małgosia szybko poleciała do strugi z flaszeczką, co ją miała na święconą wodę, i zaczerpnąwszy wody, zwilżyła nią starcowi głowę i twarz, a nie zastanawiając się nawet, zerwała swoję chustkę z głowy, odrzuciła róże na bok, i opasała nią głowę żyda, chcąc utamować krew, obficie płynącą.— Włosy rozpuściły jéj się na ramiona. O! jakże piękna była w téj chwili, ktoby ją zobaczył, ukląkłby przed nią.

Żyd otworzył zwolna oczy, przez chwilę zdawał się zbierać przytomność, błędnym wzrokiem rzucił naokoło, a zobaczywszy piękną dziewczynę, schyloną nad sobą z wodą, i własną jedyną chustką tamującą mu ranę, zdawał się być zdziwiony.

Małgosia z współczuciem zapytała go się, czy mu lepiéj?

—Lepiéj mi, lepiéj; lecz kto ty jesteś moje dziecko?

— Ja jestem ze wsi, szłam na odpust do Wielkiéj Woli, a usłyszawszy wasze jęki, i zobaczywszy was pod wozem przyciśniętego, z mojemi kompankami podniosłyśmy was, i włożyły na furę, a teraz co z wami zrobić, powiedzcie?

—A gdzie twoje kompanki?

— One poszły, bo spieszyły się na odpust, rzekła Małgosia z westchnieniem, spoglądając na swoję pokrwawioną chustkę z głowy.

—Ny, a ty nie będziesz na odpuście? powiedział żyd, bacznie jéj się przypatrując.

—Cóż robić? juźcić nie będę, a Bóg mi to odpuści, pilniejszy ratunek bliźniego jak modlitwa.

—Ale ja żyd jestem, mówił starzec, głęboko wzruszony, tyś dla żyda opuściła odpust i zabawę na odpuście.

—To cóż z tego? żyd także nasz bliźni.

Starcowi łza zaświeciła w oku.

—I któż ciebie tak nauczył robić dziewczyno? zapytał ciekawie starzec.

—Chrystus, Pan mój i twój zarazem, mówiła Małgosia ożywiona.—On w każdym człowieku kazał widzieć brata.

—A więc wielki jest Bóg chrześcijan! zawołał żyd, podnosząc ręce do góry—Bóg, który zaleca miłość, jest prawdziwym Bogiem! Kobieto ja w 60tym roku mojego życia, przez ciebie dopiero poznaję prawdę, ach! i ja chcę być chrześcianinem, bo Wielki jest Bóg chrześcijan, Wielki jest Chrystus, prawdziwy Bóg!

—Ślepy tylko wątpi o tem, mówiła Małgosia; szczęśliwa ta godzina, w któréj mieliście ten wypadek, lecz on wam otworzył wrota do nieba.

—Powiedz, że szczęśliwa chwila, w któréj mi Bóg zesłał anioła w postaci twojéj.

—Jestem tylko chrześcijanka.

Starzec prosił następnie Małgosi, żeby go zawiozła do klasztoru w Wielkiéj Woli, bo sam mając głowę i piersi mocno potłuczone, nie był w stanie siedzieć.

Małgosia ani chwili się nie wahała, śmiało uchwyciła lejce, wsiadła na wóz i wyjechała na gościniec, a nie zważając na szyderstwo prze-

chodzących, które głośno objawiali, że powozi żyda, zacinała ile mogła szkapę; nareszcie stanęła przed furtą klasztoru. Furę oblegli naokoło ludzie, bo dziw się stał wielki; nareszcie zbliżył się i jeden z księży. Żyd, był to znajomy ku piec z Żarnowa, prosił, żeby się mógł widzieć z gwardyanem, który natychmiast wyszedł do niego w gronie obywateli, którzy po nabożeństwie zostali, jak to jest zwyczaj, na obiedzie w klasztorze.—Żyd opowiedział całe zdarzenie, szlachetny czyn Małgosi, zarazem oświadczył, że pragnie zostać chrześcijaninem, bo Bóg, co każe w każdym człowieku widzieć bliźniego, jest prawdziwym Bogiem.

Gwardyan odwiązał zbroczoną chustkę, z głowy żyda, pocałował go na znak braterstwa w Chrystusie, a obracając się do stojących wkoło, pokazując zbroczoną chustkę, rzekł:

—Oto jest najszlachetniejsza, i najwyższa ofiara; to biedne, poczciwe dziewczę, nie wahało się jedyną swoją chustką, okryć rany niewiernego, wystawić się na szyderstwa głupiéj gawiedzi. Panowie! czyn ten nie powinien być beznagrody. Zostawiając Bogu nagrodę niebieską— my przychodząc w pomoc biednéj dziewczynie, a przez to i jéj staréj matce, złóżmy się na posag Małgosi.

Głośne okrzyki ogólnego przyzwolenia odezwały się wkoło, a pieniądze jak grad posypały się do składki; wkrótce ta sama chustka, która krew z ran nieszczęsnego otarła, przyniosła poczciwéj dziewczynie obfite wiano. — Ale to złoto i srebro było niczem w porównaniu z owym skarbem miłości chrześciańskiéj, jaki zacna Małgosia w swem sercu nosiła.

Stała ona teraz jak odurzona, a matka ściskała ją, zanosząc się od płaczu.

Kontusik królowéj Jadwigi.

W sam dzień Bożego Ciała, po obchodzie uroczystym, kiedy Jadwiga królowa Polska, co oddała rękę Władysławowi Jagielle i przez to połączyła Litwę z Polską, wpośród bicia dzwonów wszystkich kościołów krakowskich, i okrzyków radości tłumu narodu, siadłszy w kolasę, wolno objeżdżała stolicę swoję: nagle zatrzymać się musiała na moście staréj Wisły dla zwiększonéj ciżby ludu. Cech kotlarzy otacza kolasę, i wita królowę serdecznym odgłosem, gdy w téjże saméj chwili jeden z tego cechu, przypadkiem zepchnięty naciskiem, wpada w nurty Wisły. Widzi to królowa, wydaje krzyk przestrachu, i zaklina o pomoc dla nieszczęśliwego. Lud rzuca się do ratunku, nadpływają łodzie: lecz już martwego z wody na brzeg rzeki wynoszą. Królowa, z pośpiechem wysiada z kolasy, spieszy nieść pomoc biednemu topielcowi: klęka nad nim, a gdy zwyczajna pomoc nic nie skutkowała, wzniosła gorącą modlitwę do Boga, i pochylona nadstawiła ucha do ust biednego kotlarza. Usłyszała raz słaby oddech, wyraz radości odbił na obliczu królowéj, nadzieja ta przecież była daremną: byłto albowiem ostatni znak ulatującego życia. Wtedy królowa, spojrzawszy na trupa, rozciągniętego u jéj stóp przeżegnała go pobożnie, a zdjąwszy z ramion, złotem lamowany karmazynowy kontusik, przyrzuciła nim zwłoki kotlarza, i płacząc odjechała na Zamek Krakowski.

Wkrótce nastąpiło nabożeństwo nieszporne: lud i panowie znowu się zgromadzili: królowa jak pierwéj gorąco się modliła, jéj lica tylko okazywały smutek z wypadku, którego świadkiem była. Cech kotlarzy szedł za procesyą z innemi, ale zamiast chorągwi niósł kontusik Jadwigi, i w tym dniu otrzymał od arcybiskupa poświęcenie téj pamiątki. Od tego czasu, trumna każdego kotlarza, umierającego w Krakowie, przykrywaną była tym kontusikiem, pod którego przykryciem, jak pod skrzydłem Anioła, dusza zmarłego szczęście wiekuiste osiągnąć miała. Do niedawnych czasów relikwia ta zachowywała się w cechu kotlarskim: zaburzenia krajowe wyrwały ją z rąk właścicieli: dostała się w ręce handlarzy, i tak zaginęła ta pamiątka litości chrześciańskiéj, pobożnéj królowéj Jadwigi.

Zdania doświadczonych.

Kto za młodu leniwy,
Z przyjaciołmi fałszywy,
A poprawę odwleka,
Ten się torby doczeka.—

Chcąc się raptem zbogacić,
Możesz wszystko utracić,
Zawsze skromnie myśl sobie:
Niech grosz stoma zarobię.—

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 22 listopada (4 grudnia) 1856 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*